

# Teddy Chłopiec

Mateusz Bandurski

- Musisz być bardzo ostrożny.  
- Zawsze jestem.  
- Ale teraz musisz mieć oczy dookoła głowy. - Vincent sam się zawstydził tym truizmem. Zamaskował to długim łykiem whisky, po którym zakasłał i przetarł załzawione oczy.

- Ten facet wie o czymś. Wie, ale nie cieszy się zdobytą wiedzą, tylko gada. Gada i gada, jak jakaś papla. Teddy Chłopiec nie pił. Kołysał grubą szklanką i patrzył przez gorzałę na światło lampki stojącej na zaśmieconym biurku Grubasa.

Zza cienkich desek zaplecza przebijały świdrujące dźwięki trąbki - czarni grali swój jazz, prosto ze spelun Nowego Orleanu. To nie może się przyjąć. To tylko chwilowy szal. Co za szajs. Teddy Chłopiec aż się wzdrygnął i odstawił szklankę na wolny od papierów, resztek jedzenia i pustych szklanek kawatek biurka.

- Coś specjalnego? - zapytał.

Vincent pokiwał głową. Sięgnął wielką łapą do otwartej szuflady i wyciągnął z niej coś zawiniątko okutane w kraciastą chustkę do nosa.

- Ma to zobaczyć, zanim umrze. To bardzo ważne, Ted. Ma to widzieć. Chcę, żeby zdechł, i niech mu się to wypali w gałach, kiedy jego parszywe, gówno warte życie będzie wyciekać przez dziury, które w nim zrobisz - powiedział cicho.

Teddy patrzył przez chwilę na zleceniodawcę, po czym pochylił się i wyciągnął płaskie zawiniątko z zaciśniętych, wiecznie śliskich od potu paluchów. Ważył je chwilę w dłoni, po czym nie rozwijając, schował do kieszeni brązowej, lekko powycieranej na fokciach marynarki.

Vincent wolno cofnął rękę i rozparł się na skórzanym krześle, które zatrzęszczało w proteście.

- Zrób to, Ted. Zrób jeszcze dziś, jeśli możesz. - Pochylił się w bok i podniósł stojącą na podłodze świeżo rozpoczętą butelkę. Nalał sobie solidną porcję i spojrzał na Chłopca, pytająco unosząc brwi. Teddy pokręcił głową, wskazując nietkniętego drinka.

- Nie pijesz? To dobrze. Pamiętaj synu - gorzała to mały strumyk, który cię poniesie do wielkiego, piekielnego oceanu. - Zarechotał. - Tak mówiła moja matka, świeć Panie nad jej duszą. Dobra kobieta.

Ted wstał bez słowa i wyciągnął rękę. Vincent uściśnął ją i z wysiłkiem również dźwignął się z krzesła, nie zwalniając chwytu.

- Daj mi znać po wszystkim. To nie jest zwykłe zlecenie i nie pożałujesz.

- Mam swoją stawkę.

- Wiem. I Bóg mi świadkiem, szanuję cię za to. Ale, Teddy - ścisnął mocniej rękę zabójcy - to nie jest tylko interes. To coś osobistego. Nie płacę ci za zabicie człowieka. Płacę ci za spokój mojego sumienia. Rozumiesz? Sumienia.

Teddy Chłopiec skinął głową i uśmiechnął się lekko. Grubas puścił jego rękę, opadł na krzesło, które i tym razem cudownym zrządzeniem losu wytrzymało ciężar jego cielska. Idąc do drzwi, Ted przestał się uśmiechać. Czuł dławiącą gulę niepokoju, która pełzła mu wolno do gardła, zaciskając je jak struna. Dla Vincenta MacMahona zabił już niejedyn raz, ale w jego małych oczkach nigdy dotąd nie było prośby. Rozbawienie, złość, chłód, wszystko w zależności od sytuacji. Nigdy nie było w nich prośby. I to podszytej strachem, którego smród Teddy "Chłopiec" Mullen, morderca i człowiek interesu, potrafił wyczuć na odległość.

\*\*\*

- Nazywa się Martin Sillwood, siedzi często w "Willy's". Dużo pije. Nie ma żadnych poważnych numerów na koncie. Raz zgarnęliśmy go na wytrzeźwiałkę... - Funkcjonariusz Carmichi recytował przyciszonym głosem.

- Mieszkał wtedy z jedną dziwką, przy Dwudziestej. Mieliśmy wezwanie do awantury domowej. Wiesz, jaka jest Dwudziesta. Jeśli ktoś zadzwonił po gliniarzy, to musiało być naprawdę ostro - zachichotał i odgryzł połowę hotdoga.

Ted słuchał i popijał kawę z papierowego kubka, w którym topiły się gwiazdki pierwszego w tym roku

śniegu. Stali przy budce z żarciem pod wiaduktem, którym co chwila przelatywał z łomotem pociąg i mrugając czerwonymi światłami zniknął za blokami Dzielnicy.

- Teraz mieszka z matką przy Willow, pracuje w warsztacie samochodowym Sprytnego Chucka. W niedziele chodzi do kościoła prezbiterian przy tej samej ulicy. Dziwka nie żyje, przedawkowała. Chyba ktoś jej sprzedał za czysty towar... - Warta dwadzieścia zielonych papierów litania trwała. Ted słuchał i patrzył na śnieg.

Nic nie wartu frajer. Mechanik samochodowy w zapłutym warsztacie. Nic nie rozumiał. Zawiniątko od Vincenta ciążyło mu w kieszeni. Zajrzy do niego w samochodzie i koniec z tą pieprzoną tajemnicą. Czas na profesjonalizm. Nie lubił nie rozumieć.

Popatrzył na gliniarza, który właśnie kończył swoje śmietnikarskie żarcie, ścierając co chwilę resztki musztardy z rzadkich wąsików. Nienawidził takich typów. Wstrętne małe gnojki. Przyleją pałą pijakowi za leżenie na chodniku, obmacają aresztowaną kobietę i potem, przy trzecim kuflu, opowiedzą kumplom, jak się do tego paliła.

A teraz żre taki za swoje brudne pieniądze, pieniądze kabla, i strzela oczami na boki.

- ...i to wszystko, co mamy.

Teddy Chłopiec odstawił kubek z fusami na popękana, pomalowaną byle jak na brudnozielony kolor deskę, która pełniła przy budce rolę baru. Wyciągnął z kieszeni płaszcz dwudziestkę i patrzył, jak oczy Carmichiego rozbłyskują.

- Dziękuję, Paul. Spisałeś się na medal. Pozdrów żonę. Nawet ucałuj ją ode mnie w uszko. - Zmiał banknot w kulkę i wrzucił do resztek kawy. Idąc do samochodu, uśmiechał się, czując na plecach strach i nienawiść bijącą od policjanta.

\*\*\*

Dojazd na Willow zabrał mu prawie pół godziny. Spokojne przedmieście, miejsce, gdzie dzieciak na rowerze podrzuca ci gazetę pod drzwi i wszyscy na ulicy mówią do siebie po imieniu. Żadne luksusy, ale nie boisz się o dziecko, które poszło się pobawić przed dom. Sklepikarze, właściciele małych firm, agenci ubezpieczeniowi i emeryci.

Padający coraz gęściej śnieg zaczął już przykrywać równo przycięte trawniki. Ted zaparkował pod wierzbą, której gałązki niemal zamiatały chodnik i sprawdził pistolet. Uderzył kilka razy wyjętym magazynkiem o dłoń, wcisnął go z powrotem w rękojeść i włożył broń do sprężynowej kabury, dociskając, aż trzasnęła zapadka. Spoglądał na mały dom bez garażu, i na światło w kuchennym oknie, ciepłą plamę wśród zamieci.

Siedział nieruchomo, dopóki samochód się wyziębził i nie rozboleły go plecy. Sięgnął do kieszeni po zawiniątko, które dostał od Vincenta. Małe coś, owinięte w kraciaste płótno zaciążyło mu w ręce. Patrzył przez chwilę na śnieg wirujący za oknami samochodu i rozwinął chustkę.

Grzebyk. Dziecięcy różowy grzebyk, bez kilku zębów. Z brudną, podwiniętą na rogach nalepką, na której niezmordowany kocur Tom goni sprytną mysz Jerry'ego.

\*\*\*

Siwa kobieta w zielonym, rozwleczonym męskim swetrze otworzyła drzwi, zanim zdążył zdjąć palec z dzwonnka. Patrzyła na Teda bez słowa, a zza jej nóg w rozdeptanych kapciach równie beznamiętnie gapił się prądkowany, bury kocur. Za jej plecami dojrzał uchylone drzwi do kuchni, spoza których dolatywały zapachy odgrzewanej kolacji.

- Dobry wieczór, pani Sillwood. Czy jest Marty? - Ted wyczarował jeden ze swoich najlepszych uśmiechów.

Kobieta nie odpowiedziała. Mierzyła go przez chwilę nieruchomym wzrokiem czarnych jak kamyczki oczu.

- Martina jeszcze nie ma. Kim pan jest? - Kocur ziewnął i pomaszerował w stronę kuchni.

- Byliśmy na dzisiaj umówieni... - Ted udał zaskoczenie i niepewność, starając się patrzeć prosto w świdrujące go oczy.

- Nic mi o tym nie mówił. - Kobieta stała nieruchomo i dalej gapiała się na Chłopca. Odchrząknął.

- Jestem jego kolegą, znamy się z baru. Przyjechałem oddać mu pieniądze -

Ted wyciągnął rękę z kieszeni, starając się wyglądać jak uosobienie szczerości.

Kobieta przeniosła na moment wzrok na zwitek banknotów, po czym znowu przyszpiliła go wzrokiem. Milczała, a uśmiech Chłopca gasł.

Ona wie.

- Nikt z baru nie oddaje mu pieniędzy. Wszyscy tylko - głos jej się załamał, ale szybko kaszłęła, odwracając na moment głowę i mówiła dalej - wszyscy tylko biorą. Nie jesteś nawet jego kolegą.

Wyciągnęła wolno rękę i zacisnęła dłoń Teda na pieniądzach. Ciągłe ściskając jego skórzaną rękawiczkę w swojej chudej, poznaczonej błękitnymi żyłkami dłoni, wpatrywała się czarnymi oczami, w których zobaczył te wszystkie samotne wieczory, kiedy tylko migoczący blask telewizora rozświetla okna pustego domu. Niespokojne noce, kiedy każdy szelest wyrywa cię z łóżka i zostawia w ciemności z łomoczącym sercem. Tę miłość, tak wielką, że zjada samą siebie, bo nic nie jest już jej w stanie nasycić. Miłość samotnej kobiety, suchą i gorzką.

Zabójca zadrzał, ale w tym samym momencie kruche palce rozluźniły uchwyt i znów był sobą. Widział tylko starą kobietę, która czeka wieczorem na syna.

- Wiem, kim jesteś. Wynoś się stąd, morderco. Wynoś się i nie wracaj.

\*\*\*

Przednią szybę samochodu zalepił mokry śnieg. Ted siedział nieruchomo w półmroku. Nagle, jakby uporał się z jakąś szczególnie natarczywą myślą, pochylił się do schowka. Płaska butelka była w trzech czwartych pełna. Pociągnął długi łyk i westchnął.

- Pieprzyć Sillwooda. Pieprzyć rąbniętą starą. Pieprzyć Grubasa i tę zasaną sprawę.

Pociągnął jeszcze raz z butelki i wrzucił ją z powrotem do schowka. Zapalił silnik, włączył wycieraczkę. Półmrok zniknął i Teddy Chłopiec ruszył powoli w drogę, starając się z wszystkich sił nie myśleć o niczym.

\*\*\*

"Willy's" to był naprawdę podły bar. Ostatnia przystań nocnej kruczaty okolicznych dziwek, drobnych bandziorów i pijaków, których od chleptania resztek z pozostawionego przez innych szkła powstrzymuje jedynie resztkę kołaczącego się gdzieś wstydu i obrzydzenia do siebie. Ted wszedł i nie zdejmując kapelusza, zamówił żytniówkę. Nie spieszył się. Siedział wcześniej w samochodzie przed knajpą od godziny. Widział jak Martin wychodzi na zewnątrz, opierając się jedną ręką o mur szcza prosto na ulicę, rozgląda się nieprzytomnie, po czym wraca do baru, wypuszczając na mróz przez uchylone drzwi kłęb papierosowego dymu i strzępy muzyki. Sprawa zamknięta, kasa w kieszeni.

Słuchał więc teraz bełkotu pijanej panienci siedzącej na sąsiednim stołku, która po raz kolejny opowiadała historię swojego życia każdemu, kto tylko kiwał głową i nie krzyczał, żeby się odpieprzyła. Patrzył na wysokiego, chudego barmana o oczach z niebieskiej porcelany, który bez słowa rozlewał gorzałę i piwo, z brudną ścierką przewieszoną niedbale przez ramię. Nie zdjął nawet rękawiczek i gapił się w swoje odbicie w zakurzonej lustrze za barem. Chudy, trochę zgarbiony człowiek o wymiętej twarzy i zmęczonych oczach kogoś, kto za mało śpi i nie wychodzi na spacer do parku, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Za jego plecami, odbity w lustrze Martin Sillwood patrzył w swój kieliszek.

Bezbarwny pijaczek, którego cera zdawała się stapać z brudnoszarymi ścianami knajpy. Trzeba to zrobić teraz. To śmierdzi jak zgniłe jajo, ale trzeba to zrobić teraz, a potem odpocząć jakiś czas. Teddy opróżnił jednym haustem swój kieliszek, strząsnął z ramienia wiotką rękę panienci, która już zaczęła się z nim zaprzyjaźniać i podszedł do stolika. Sillwood podniósł oczy, spojrzął na faceta w kapeluszu i długim płaszczu, spod którego wysunęła się kabura, kiedy mężczyzna nachylił się nad nim.

- Chodź, Martin, przejdziemy się. Chodź.

Popatrzył nieprzytomnie w oczy obramowane drobną siateczką zmarszczek i wstał.

- Nie dopijesz?

Sillwood pokręcił przecząco głową, starając się utrzymać równowagę. Wyminął Teddy'ego Chłopca i poszedł w stronę wyjścia, objając się o pijaków, obrzucających go kłótwami za rozlane piwo, nie kłopotując się o płaszcz pozostawiony na wieszaku.

\*\*\*

Zaułek za barem, do połowy zastawiony kipiącymi od śmieci blaszanymi kubłami, był tylko wąską kichą między dwiema ceglanyścianami czynszowych kamienic. Mężczyźni szli pod gęstą pajęczyną krzyżujących się pustych sznurów do prania, w których gwizdał wiatr.

- Stój.

Sillwood posłusznie zatrzymał się, kiwając lekko na boki. Płatki śniegu osiadały na jego ramionach i

rzadkich, rudych włosach.

Chłopiec wycelował mu w tył głowy.

- Odwróć się.

Pijak jakby go nie usłyszał. Stał dalej wśród zawiei i kiwał się, mamrocząc cicho.

- Co mówisz?

- Co tak długo?

- Co?

- Czemu to tak długo trwało? Od Grubego...? Przychodzisz od Grubego?

Ramiona Sillwooda zadrżały od śmiechu, który przerodził się w kaszel. Pijak zgiął się wpół, rżąc. Za ich plecami przejechał samochód, rozchlapując oponami śnieżną breję. Na krótką chwilę, kiedy reflektory omiotły zaułek, ich cienie zwały się w jeden czarny, pokręcony kształt na ceglanych ścianach.

Ted przeładował pistolet i sięgnął wolną ręką do kieszeni płaszcza. Wyłuskał grzebyk ze spowijającej go chustki.

- Odwróć się. Chcę ci coś pokazać.

Sillwood przestał wreszcie kaszeć, otarł usta i odezwał się całkiem trzeźwym głosem, ciągle odwrócony, przechylając głowę na prawe ramię.

- Chodzi o dziewczynkę? Przyszedłeś tu... yyp - odbiło mu się - w sprawie dziewczynki?

Ted nie opuścił pistoletu nawet o centymetr. Wiedziałem. Kurwa, wiedziałem. Pierdolona pijacka menda.

- Słuchaj, ja nie chciałem...

Ktoś stanął u wylotu uliczki i osłaniając dłonią oczy przed światłem latarni gapił się w mrok.

Ted zrobił krok w tył i wycelował w ktosia broń.

- Wypierdalaj!

Niewyraźna sylwetka opuściła rękę, cofnęła się, rzuciła do ucieczki.

Ted odwrócił się.

- Ale ja musiałem to zrobić, tak, musiałem... Kazała mi... - Sillwood mamrotał dalej swoje, głuchy na wszystko.

Chłopiec walnął go kantem rękojeści prosto za ucho, aż trzasnęło, a pijak poleciał z jękiem na ścianę, odbił się od niej i upadł w śnieg, przewracając kilka kubłów. Wrzasnął spłoszony kot. Ted doskoczył i wymierzył pistolet prosto w twarz Sillwooda, sztywną lewą ręką podsuwając mu przed zamglone oczy różowy grzebień.

- Poznajesz!? Proszę cię, powiedz, że, kurwa, poznajesz!

Mężczyzna na ziemi dyszał ciężko. Ted czuł odór przetrawionej wody który bił od niego.

Wyjęczał coś.

To za długo trwa. Chłopiec nerwowo zerkał na lewo i prawo. Za długo.

- To ta dziwka chciała sprzedać małą... To Jewel chciała... Ja nie chciałem... Próbowałem mówić glinom... mówiłem... - zawodził cicho Sillwood.

Jezu. Panie w Niebiesiech. Wiem.

Pijak czołgał się na czworakach w stronę drzwi od zaplecza. Ted rzucił grzebyk na brudny śnieg, tuż przed jego twarzą, i dwa razy pociągnął za spust. Podszedł do ciała, splunął na nie, i dla pewności strzelił jeszcze raz.

Schował pistolet i poszedł w stronę światła latarni, kiwającej się w zadympce u wylotu zaułka.

\*\*\*

Tak głupio... tak głupio. Pierwsza kula syknęła i rozwaliła lusterko, kiedy otwierał już drzwiczki samochodu. Zaczął się odwracać, rękojeść pistoletu sama wskoczyła mu w dłoń, wypchnięta sprężyną. Znowu syknęło i poczuł uderzenie, wysoko, gdzieś pod pachą. Sylwetka w śnieżycy u wylotu zaułka, człowiek, który tak spieprzał, widząc wycelowaną w siebie broń.

Strzelał raz za razem, aż gliniarz przy radiowozie usiadł, opierając się o przednie koło, ciągle ściskając rewolwer. Głowa opadła mu na piersi, granatowa, mundurowa czapka potoczyła się po chodniku.

Tak głupio. Glina w tej okolicy. Tak głupio...

\*\*\*

Czwarta nad ranem.

Teddy Chłopiec zaparkował przed klubem Grubasa. Gapił się na żółty neon nad wejściem.

Bramka - dwóch wielkich czarnych - odprowadzała właśnie jakąś babkę w futrze do limuzyny. Kobieta śmiała się i trzymała ich pod łokcie, patrząc to na jednego, to na drugiego. Wsiadając, posłała im całusa. Limuzyna ruszyła rozchlapując śnieżną breję pokrywającą jezdnię. Tylnymi drzwiami jazzband wynosił z klubu swoje klamoty i ładował do furgonetki z wymalowaną na drzwiach kierowcy jaskrawą nazwą zespołu, o którym Ted nigdy nie słyszał.

Wysiadł i poszedł na sztywnych nogach prosto do biura, mijając osiłków i muzyków, obok równych stosów skrzynek po piwie i pustych aluminiowych beczek. Do głównego wejścia biura Grubasa. Na zaplecze. Zjechał po kilku betonowych stopniach, w ostatniej chwili przytrzymał się poręczy, i walnął pięścią w obite blachą drzwi, przeklinając odrętwienie, które go ogarniało. Usiadł na ostatnim stopniu, podparł głowę ręką. Jak dobrze...

Szczęknięty rygle, drzwi uchylły się odrobinę.

- Teddy! Dobry Boże! Panie MacMahon!! Postrzelili Teddy'ego!

\*\*\*

Grubas Vincent MacMahon właśnie nalewał sobie szóstą poobiednią whisky, kiedy Ted "Chłopiec" Mullen obudził się.

Zza cienkich desek zaplecza przebijały się świdrujące dźwięki trąbki. Czarni grali swój jazz prosto ze spelun Nowego Orleanu. To nie może się przyjąć. To tylko chwilowy szal. Co za szajs.

Teddy Chłopiec aż się wzdrygnął i jęknął. Otworzył oczy. Leżał na zielonej kanapie na zapleczu klubu Grubasa, czuł pod ramionami zwoje bandaża, czuł, jakie są lepkie i jak ciężko mu się przez to oddycha. Vincent odwrócił się, bez słowa podsunął mu szklanekę z gorzałą pod nos. Ted pokręcił głową i starał się stłumić mdłości wywołane tym gwałtownym ruchem.

Grubas wzruszył ramionami, przełknął drinka jednym haustem. Mlasnął i z sapnięciem podsunął sobie niskie krzeselko, siadając przy rannym.

- Co się stało, Ted?

- Gliniarz...

- W tej okolicy? Gliniarz...? - Vincent nie krył zdumienia. Poprawił tyłek na krzeselku.

Chłopiec tylko pokiwał głową, uśmiechając się słabo.

- Załatwiłeś sprawę?

Kiwnięcie.

- A gliniarz?

Kiwnięcie.

Palące oczy grubasa tkwiły w wielkiej jak księżyc twarzy nachylonej nad Chłopcem.

- Sillwood? - wyszeptał Ted.

- Co z nim? - zapytała Twarz.

- Co zrobił. Co zrobił...? Powiedz...

Twarz cofnęła się, zmalala i Teddy odetchnął, uwolniony od jej ogromu. Usłyszał, jak MacMahon wstaje i podchodzi do biurka. Szczęknięty widełki telefonu, słyszał, jak terkocząc kręcą się cztery cyferki na tarczy.

- Dzwonię po doktora, Teddy, słyszysz mnie? Dzwonię po tego starego morfinistę. Ale przyrzekam ci, ręce mu nie będą latały, kiedy się weźmie za tę kulkę!

Chwila ciszy, przerywanej świszczącym oddechem Vincenta. Stuk odkładanej słuchawki. Chłupot kolejnej whisky. Chłopcę kręci się w głowie. Zmrok.

- Ted, oberwałeś bardzo paskudnie. Dzwonię do doktora, ale gdzieś się szlaja. Przyrzekam, urwę mu jaja gołymi rękami, jeśli się za chwilę nie odezwie.

Grubas siada na krześle i kładzie rękę na czole Teda. Jest ciepła i troskliwa, jak ręka ojca.

- Co ci mówił Sillwood? Teddy, słyszysz mnie? Mówił kto... Mówił, że to ja tę małą...!? Ted? Teddy...? Chłopiec zasypia.

\*\*\*

Przez brązowy syrop, który skleja mu powieki, przeciska się światło. Czuje zastarzały papierosowy dym i delikatny zapaszek stęchlizny. Ból jest jednostajnym tętnieniem, które rozsadza mu piersi. Biuro Grubasa.

Nie słyszy muzyki i gwaru zza desek. Jest chyba ranek, któregoś tam dnia.

Słyszy głosy.

- Masz go chociaż na chwilę docucić, muszę to, kurwa, wiedzieć, czy ten zasraniec jeszcze z kimś

rozmawiał! - drze się MacMahon.

- Vincent, nie mogę już go strzykać tym świństwem, jeszcze trochę a wysiądzie mu serce! Zresztą to beznadziejne, trzymamy go tylko...- starszy, trochę drżący głos.

- Mam to w dupie, ty ćpunie! Gdybym chciał, żeby żył, to byłbyś tu już dwa dni temu i miałbyś cały Central Hospital do swojej dyspozycji. On ma się tylko na chwilę obudzić!! Na chwilę!!

Ted przymyka oczy.

Kiedy znów podnosi powieki, pokój wiruje w szarości. Dziewczynka w kącie gabinetu Vincenta jest otoczona perłową poświatą, ziarnisty mrok odsuwa się od niej jak płatki śniegu od rozżarzonego pieca. Długa grzywka zasłania jej buzię, kiedy podchodzi do umierającego mordercy. Ted Mullen po raz pierwszy w życiu czuje strach i nie chce być sam, wyciąga więc rękę do dziewczynki, patrząc na padający za oknem śnieg. Po chwili czuje jej ufną uścisk. Nie bacząc więc na ból, sięga po różowy grzebyk, o którym dobrze wie, że leży obok trupa w zaułku za "Willy's". Przeciąga nim po włosach małej, zaczesuje je do góry, odstaniając twarz. Widzi okropne siniaki i zaschnięte krople krwi, które po chwili bledną i znikają, kiedy tylko pada na nie światło z małego, zaszypanego bielą okienka.

Wstaje z zielonej kanapy i idą razem w zamieć, przez którą przebija się słońce. Mijają czerwonego z gniewu Grubasa, który szarpie chudego starca w czarnej marynarce, trzęsącego się ze strachu i głodu narkotykowego.

Dziewczynka przytula się do boku Teda i drży, widząc Grubego. Znikają.

Pojawia się gliniarz z wąsikami; pieprzy w bramie chudą ćpunkę. Ona umrze równo za trzy lata, on dwa miesiące wcześniej, zastrzelony przez chłopaka, który uciekł z zakładu poprawczego.

Mijają też starą kobietę, śpiącą z kotem na kolanach, mamroczącą przez sen. Kot jest niezadowolony z ich wizyty. Syczy prężąc grzbiet, zanim z powrotem ułoży się na wygrzanym miejscu.

Widzą policjanta, który tłumaczy coś płaczącej kobiecie, wpitej palcami w blat kuchennego stołu, niczym tonący w krawędź przerebli.

Na ścianie zdjęcie mężczyzny w mundurze, świeżo po promocji. Oprawiony w tanią, posrebrzaną ramkę uśmiecha się na wieki. Inni gliniarze stoją przy drzwiach, skrępowani, przestępują z nogi na nogę, paląc papierosy.

Dzieci śpią na górze w swoich pokojach.

\*\*\*

Teddy Chłopiec zobaczył jeszcze wiele obrazów, ale nigdy nie wypuścił z uścisku ręki dziewczynki.

Wie już prawie wszystko, boi się coraz bardziej, ale idą dalej.

*Koniec*